

Dr. AUGUST SOKOŁOWSKI.

O NOWYCH POGLĄDACH
NA HISTORIĘ POLSKĄ.



Dydynisk

KRAKÓW.

Nakładem Wydawn. „Nowej Reformy”.
CZCIONKAMI Drukarni Związkowej
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1888.

+

Dr. August Sokołowski.

O NOWYCH POGLĄDACH
NA HISTORIĘ POLSKĄ.



W KRAKOWIE.
Nakładem Wydawnictwa „Nowej Reformy”.
W DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1888.



Uniwersytet Śląski
Biblioteka Główna



000910691

AKL

BG-0259635

35.000,-

Do korzystania
w czytelni

K-292/94/3

*...et sicut vetus aetas vidit,
quid ultimum in libertate es-
set, ita nos quid in servitute.*
Tacit. Vit. Agric.

I.

Od dłuższego już czasu uczony i nieuczony świat polski i rosyjski zajmuje się książką, wydaną przez prof. M. Bobrzyńskiego a obejmującą dzieje Polski od początku jej powstania aż do ostatnich chwil politycznego bytu. Powodem tego zajęcia była i żywa polemika przed kilku laty prowadzona przez najpierwsze powagi naukowe polskie i niesłychana, jak na nasze stosunki, ilość wydań i rozgłos wreszcie, jaki książka p. B. uzyskała w świecie rosyjskim. W obec takiego stanu rzeczy, w obec szermierki, którą prowadzili najznakomitsi uczeni nasi z autorem, nie uważaliśmy za stosowne odzywać się z skromnem zdaniem naszym i woleliśmy milczeć, niż występować w szranki razem z tymi, co i nauką i doświadczeniem zyskali sobie od dawna już zasłużoną sławę w uczonym świecie polskim. Dziś atoli, kiedy jedni z nich snem wiecznym spoczęli, drudzy zaś nie czują ochoty do walki z autorem, mającym podług zdania o-

gółu ustaloną sławę naukową, uważamy za obowiązek nasz wypowiedzieć sąd o książce, która tyle narobiła hałasu i tak szerokiem odezwała się echem wśród społeczeństwa polskiego.

Co prawda, wyzywa nas do tego niejako i sam p. B., kiedy w przedmowie do trzeciego wydania powtarza to, co już dawniej powiedział: „Najlepszą odpowiedzią na cały szereg krytyk, najlepszą zarazem obroną książki mojej, będzie jej drugie wydanie“.

Ta pewnoś siebie nie zaimponowała nam wprawdzie, ale uderzyła niezwykłą śmiałością; bo nie przypominamy sobie, ażeby jakikolwiek z najznakomitszych historyków europejskich w ten sposób do publiczności przemawiał. Powie- dzieliśmy sobie przeto: musi być ta książka, w trzeciem wychodząca wydaniu, rzeczywiście dziełem niepospolitej wartości, kiedy autor jej z taką występuje odwagą, kiedy z takim lekce- ważeniem traktuje dalej swoich recenzentów, kie- dy tak bardzo i nie bez pozornej słuszności, a z pewną ironią, wyrzeka na ich drobiazgowość i zarzut „intuicyjnego“ pisania historyi, przyznając sobie zasługi nie tyle umiejętnego zbadania, co historyzoficznego poniekąd traktowania dziejów polskich. Z takim przekonaniem braliśmy to nowe wydanie (tom I) do rąk i przyznajemy się z góry, żeśmy niemałego doznali zawodu.

Jaka jest wartość naukowa poglądów p. B., o tem powiemy później, na wstępie zaś radzi- byśmy wywieść autora z błędu, w który popadł niebacznie, mierząc ilością wydań umiętne zna-

czenie swojej publikacyi. — Otóż co do tego, pozwolimy sobie zrobić skromną uwagę, że „Dzieje Polski“, wydane w Warszawie, pod cenzurą rosyjską, musiały obudzić ogólną ciekawość i, mając przed sobą ogromne pole zbytu na całym obszarze ziem polskich, rozejść się w znaczniejszej ilości egzemplarzy. Zjawisko to da się tem łatwiej wytłómaczyć, że czytająca publiczność nasza, ta, która żyje zdala od ognisk naukowych, nieobznajomiona dokładnie z postępem umiejętności, chwytając skwapliwie każdą książkę, traktującą o historii polskiej, — a cóż dopiero, jeżeli tę książkę napisał profesor uniwersytetu Jagiellońskiego i jeżeli go Szujski i Kalinka poważną, a w ogóle życzliwą zaszczytli krytyką. — I o to pierwsza tajemnica tego powodzenia, co autora dumą napełniło, na recenzentów *minorum gentium* jowiszowe jego ściągnęło gromy i objętość pierwszego tomu w trzeciem wydaniu o 41 stronic samych przedmów powiększyło. Jest jeszcze i druga.

Obok książki p. B. istnieje inna, prawie równocześnie napisana, bogata erudycją, książka, w której autor złożył owoce kilkudziesięcioletniej mozolnej i sumiennej swej pracy, a jednak przeszła ona prawie niepostrzeżenie, nie wywołała żadnej polemiki, nie obudziła żywszego zajęcia i dziś zdaje się, jakoby z autorem razem zstąpiła do grobu, jakoby mogiła Szujskiego i ostatni owoc niezmordowanej pracy jego wraz z martwymi zwłokami na zawsze przykryła.

Zdarzenie to, na pozór dziwne i niezrozumiałe, tłumaczy się łatwo każdemu, co obie te prace przeczytał uważnie, tłumaczy się nietylko zaletami stylu, któremi w tym razie Bobrzyński stanowczo nad Szujskim góruje, co całym pojęciem naszej przeszłości, co tem tłem, na którym dzieje Polski u p. Bobrzyńskiego występują, a które różni się stanowczo od dawniejszego pojmowania i traktowania historyi. — Ażeby słów naszych nie zrozumiano mylnie, musimy myśl poprzednią szerzej cokolwiek rozwinąć. Książka p. B. nie jest przedewszystkiem tem, czem ją tytuł być mieni, historyą, lecz rozumowaniem na temat historyczny, podług zasad z góry przez autora przyjętych. Zasady te są w najogólniejszem tego słowa znaczeniu streszczeniem obecnego programu politycznego, są odbiciem chwili, w której p. B. książkę swoją pisał. Hasłem więc jego jest silna władza i rozwój ekonomiczny narodu, a w obec tych dwóch postulatów ustępują i muszą ustępować wszelkie inne względy i zapatrywania. Może tam sobie narzekać po cichu uczucie patryotyczne, może się gniewać traktowana po macoszemu chronologia, może protestować pogwałcona prawda historyczna, autor mało dba o te drobnostki, byle tylko mógł dowieść, że było źle, skoro nie działo się tak, jak podług naszych dzisiejszych wyobrażeń dziać się było powinno. To przeniesienie historyi na tło dzisiejsze, to przykładanie miary dzisiejszej do stosunków w. XI, XII, XIII i t. d., ta, jak się wyrażają dziś „trzeźwość“ w prze-

ciwstawieniu do nieuchwytnych ideałów przeszłości, to jest właśnie powód, dla którego, oprócz wymienionych już, książka p. B. zyskała czytelników i życzliwych opiekunów. Dziwić się tylko potrzeba, że w obec tego pan B. zarzuca Lelewelowi (str. 65), że pisał „ulegając żywemu jeszcze wrażeniu rewolucyi francuskiej“, kiedy sam tak z prądów chwili obecnej wyzwolić się nie zdołał.

Ale przejdźmy do szczegółów. P. B. rozpoczyna pracę swoją od stworzenia nowego podziału. Nie wiemy dla czego kwestya ta, mająca właściwie dość podrzędne w historyi znaczenie, do tak szerokich wyrosła rozmiarów. O ile znamy dzieje innych narodów, nigdzie podziałom tak wielkiej nie przypisywano wagi. Dzielono i u nas historję rozmaicie i dobrze jakos z tem było; dopiero książka p. B. nadała tej sprawie rozgłos taki, że mimowoli zastanowić nam się nad nią wypada.

Powiada autor słusznie (na str. 46), że historję można dzielić albo pod względem rozwoju we wnętrznego, albo też w stosunku do zdarzeń politycznych, zewnętrznych, dodaje jednakże zarazem, że żaden jeszcze historyk nie napisał historyi, któraby dwa takie różne podziały w jednym przedstawieniu dziejów równocześnie przeprowadzała. „Wynikłaby ztąd wieża Babel.“

Po tem wyjaśnieniu, na które się zupełnie piszemy, oczekiwacby wypadało, że autor pójdzie w jednym lub drugim kierunku, to jest, że

podzieli historię pod względem zewnętrznym lub wewnętrznym. Tymczasem stało się całkiem inaczej: p. B. pozazdrościł sławy architektom babilońskim i pomieszał stosunki zewnętrzne z wewnętrznymi.

Okres pierwszy podług jego zasady trwa aż do połowy XIII wieku. „W okresie tym, powiada, najżywotniejszym celem polityki zewnętrznej jest utrzymanie dla państwa dorzecza Elby i Odry“, w połowie XIII wieku straciliśmy jednak linię odrzańską, a że równocześnie w wewnętrznych stosunkach nastąpił przełom pewien, więc wypada tu zakończyć pierwszą epokę. To pomieszanie stosunków wewnętrznych z zewnętrznymi odejmuje całą podstawę projektowanemu przez p. B. podziałowi. Zasadę bronienia Elby i Odry przed najazdem germańskim postawił wprowadzie p. B. w drugiej połowie XIX wieku, ale nie wynika z tego wcale, aby królowie i książęta polscy w XI i XII w. tak samo na tę sprawę się zapatrywali.

Możnaby wprowadzie twierdzić to o Bolesławie Chrobrym i Mieczysławie II, ale co do ich następców stanowczo powiedzieć trzeba, że zaniechali owej agresywnej polityki ku zachodowi. Skłoniły ich zaś do tego już to zamieszki wewnętrzne za Kazimierza I, już to osłabienie Polski po katastrofie Bolesława Śmiałego, już wreszcie podział państwa za Bolesława Krzywoustego. A że Słowianie połabscy nie w połowie XIII wieku, jak proponuje autor, ale już na schyłku XII wieku ulegli nawałce germańskiej, że Śląsk faktycznie oderwał

się od Polski także w tym samym czasie, więc pod względem zewnętrznym czyli politycznym, okres pierwszy pana B. żadną miarą do połowy XIII dociągnąć się nie da.

Przypatrzmy się teraz stosunkom wewnętrznym. Główną cechą tego okresu są podług zdania autora rządy patryarchalne, które się mają kończyć dopiero z chwilą powstania „odrębnych, samorządnych stanów“. Otóż te „rządy patryarchalne“, ta nieograniczona władza książęca czy królewska, zachwiała się na długo już przed połową XIII wieku, najpierw za Władysławem Hermanem, kiedy Sieciech faktycznie rządził państwem, dalej za Władysławem II, którego możnowładztwo wypędziło z Polski, nareszcie stanowczo za Kazimierza Sprawiedliwego, gdy na zjeździe łęczyckim (podług Piekosińskiego w roku 1177), biskupi polscy, na wzór biskupów zachodnich zabrali głos poważny w sprawach publicznych i życzenia swoje narzucili panującemu, osadziwszy go poprzednio na tronie wbrew wyrażnym postanowieniom „patryarchalnej władzy“, wyrażonym w testamencie Bolesława Krzywoustego. — W istocie więc upadła władza patryarchalna na sto lat blisko przed kresem, zamierzonym jej w książce p. B i z podstawy, na której wznosi się gmach podziałowy autora, pozostała tylko organizacja „samorządnych stanów“. Ale i tu na nowe natrafiamy trudności. „Ostateczna organizacja autonomiczna ziemian dokonywa się dopiero z początkiem XIV w., powiada autor, duchowieństwo jednak przeprowadza swój program autono-

miczny, wypowiedziany w przywileju z roku 1210, w szczegółowych przywilejach między rokiem 1230 a 1260¹⁾ (str. 51). Otóż znowu przywilej ten, wydany, o ile się zdaje na synodzie w Borzykowie, w zgromadzeniu biskupów i książąt polskich, jak z jednej strony popiera nasze zdanie, wyżej wypowiedziane, o ograniczeniu władzy patryarchalnej przed połową wieku XIII, tak z drugiej strony nie jest wcale granicą, od której duchowieństwo swój program autonomiczny przeprowadzić usiłuje. Ta autonomia kościelna przebija się bowiem jasno już w akcie fundacyjnym dla klasztoru Sulejowskiego, wydanym w roku 1176¹⁾, w dokumencie Bolesława Kędzierzawego z roku 1169²⁾ i w nadaniu Leszka Białego w roku 1206³⁾, co, w obec niewielkiej liczby przywilejów naszych z wieku XII i początków XIII można uważać za dowód wystarczający, a w żadnym razie utrzymywać się nie godzi, jakoby dopiero od roku 1210 owo wyzwolenie dóbr duchownych z pod władzy świeckiej zaczynać się miało.

Tak ze wszystkich, przez p. B. przytoczonych cech charakterystycznych, na których podział jego się opiera, pozostaje tylko organizacja gmin niemieckich w Polsce, dokonana w drugiej połowie XIII w., chociaż i tu możnaby całkiem słusznie posunąć granicę o kilkadziesiąt lat naprzód, lub

¹⁾ Cod. dipl. Rzyszcz. I, 11.

²⁾ Piekosiński. Kodeks Małopolski III w Dodatkach.

³⁾ Tamże p. 19

cofnąć ją o tyleż lat wstecz. Jeżeli bowiem przy podziale na epoki patrzymy głównie na skutki jakiegoś zdarzenia donioślejszego, to wpływ kolonizacji niemieckiej objawia się dopiero u schyłku XIII w., jeżeli zaś mamy na oku pierwsze lokacje na prawie teutońskim, to wypada nam szukać ich na kilkanaście lat przed napadem pierwszym Tatarów, w dzielnicy Henryka Brodatego, na Śląsku, tudzież w sporadycznych nadaniach tego rodzaju w ziemiach polskich. Najazd Tatarów nie był bowiem jedyną przyczyną kolonizacji niemieckiej w Polsce; niepokoje, panujące w Niemczech, wędrówki gromadne ludności germańskiej ku wschodowi, osiedlenie się Krzyżaków nad Wisłą, pogrom połabskich Sławian, kolonizacyjna praca Premonstratensów w Brandenburgii, przykład wreszcie śląskich Piastów i słabe zaludnienie krajów polskich, oto co mogło książąt polskich skłonić do hazardownego kroku powołania obcych kolonistów. Zaprzeczyć wprawdzie nie można, że to osiedlanie się gromadne Niemców na ziemi polskiej wpłynęło na rozwój społeczeństwa polskiego, a nawet w polityce zewnętrznej pewną odegrało rolę, pomimo to jednak sądzimy, że p. B. zanadto znaczenie faktu tego przecenia, kiedy go usiłuje uczynić słupem granicznym między dwoma epokami, a już wcale słuszności nie ma, podciągając i naciągając dzieje polityczne narodu polskiego do zmian przez to zdarzenie wywołanych. Tworzy się przez to chaos, nowa wieża „Babel“, pomieszanie stosun-

ków zewnętrznych z wewnętrznymi, przeciw czemu autor na początku sam powstawał.

Drugi okres ustanowił pan B. od połowy XIII do końca XV wieku dla tego, bo w tym czasie ma być celem naszej polityki zewnętrznej „utrzymanie ujść Wisły, jako jedynej wielkiej drogi eksportu na Bałtyckie morze“, wewnątrz zaś „rozwój prowadzony samodzielną pracą społeczeństwa, własnymi siłami“. Autor połączył tu cel ściśle ekonomiczny z frazesem, który się da zastosować do każdego społeczeństwa i każdego czasu; trudno bowiem pojąć, ażebył gdziekolwiek istniał naród, pewną świadomość cywilizacyjną posiadający, któryby do udoskonalenia swego nie zmierzał i ku temu celowi własnych sił nie używał.

Mniejsza jednak o słowa, przejdźmy do rzeczy.

Nie ulega wątpliwości, że stosunki ekonomiczne ważną odgrywają rolę w życiu narodów politycznym i społecznym, trudno atoli utrzymywać, ażeby one stanowiły wyłącznie program całych pokoleń, ażeby przez wieki były osią, około której obracały się wszystkie dążności i usiłowania narodu. Taka wytrwałość jest nie tylko w dziejach bezprzykładną, ale nawet w obec zmienności ludzi i czasów wręcz niemożliwą. Mimo to, pojawia się ona jakby na zawołanie p. B. w połowie XIII w. i trwa bez przerwy lat 250 z okładem.

Tymczasem historia, ta właśnie pragmatyczna i drobnostkowa, o której autor z takim lekce-

ważeniem w przedmowie się wyraża, poucza nas, że myśl pozyskania ujść Wisły, mniej-sza o to, z ekonomicznych czy politycznych płynąca pobudek, powstała już za czasów Bolesława Chrobrego, że ją podejmował następnie Władysław Herman, wykonał częściowo Bolesław Krzywousty przez podbicie Pomorza i że dla tego już nowością w XIII wieku być nie mogła. Nie dla zdobycia tej drogi zresztą, jak mnie-ma pan B., ale dla odparcia pogańskich Prusaków powołuje Konrad mazowiecki zakonników P. Maryi do ziemi chełmińskiej, a Łokietek więcej zapewne z poczucia doznanej krzywdy, niż dla ekonomicznych korzyści bierze się do oręża, aby nieprawnie wydarte Pomorze na Krzyżakach odzyskać. Syn jego porzuca na razie walkę na północy, organizuje państwo wewnętrznie i zajmawszy Ruś czerwoną, wskazuje tem samem już nowe tory dla polityki polskiej. Odtąd jest Polska na drodze do wielkomocarstwowego stanowiska, odtąd kierunek jej polityczny zmienić się musi, bo punkt ciężkości z zachodu przenosi się na południowy-wschód; z chwilą unii polsko-litewskiej jest monarchia Jagiellońska bezsprzecznie pierwszą potęgą na całym wschodzie Europy a pognębienie krzyżactwa staje się jedynie kwestią czasu. Otóż mocarstwu takiemu, którego granice opierały się o Dniepr z jednej, a o Odrę niemal z drugiej strony i które naturalnym rzeczy porządkiem musiało odegrać w Europie rolę bardzo znaczną, zakreślać cel lokalny i ograniczać politykę jego do rozwiązania ekonomicznych

problematów, podrzędnej już wagi, znaczy tyle, co historię sprowadzać na niewłaściwe tory drobnotkowych zabiegów i koteryjnych ambicyjek. Jakżeby autor osądził Demostenesa, który odrzucał najkorzystniejsze traktaty handlowe, jakie Ateńczykom ofiarował Filip macedoński, a zbroidł floty na posiłek Olintyńczykom i uciśnionym Bizantyńcom? Cóżby powiedział o Hollendrach, którzy podnosząc broń przeciw Filipowi II, na najdotkliwsze pod względem materyalnym narażali się straty?

Zresztą historia przeczy, jakoby polityka polska od roku 1386 obracała się, według recepty p. B., głównie około kwestyi odzyskania dolnej Wisły. W poczuciu potęgi swojej i wielkich zadań, jakie jej teraz przypadają w udziale, przybiera ona już przed zwycięstwem grunwaldzkiem inne zupełnie kierunki. Na południu sięga po Ruś czerwoną i rozciąga wpływy swoje ku dolnemu Dunajowi, zmuszając do hołdu hospodara mołdawskiego, na wschodzie rozszerza się w głąb Rusi i podejmuje walkę z tatarstwem, słowem, zakreśla sobie program, odpowiadający sile i stanowisku pierwszorzędnego w Europie wschodniej mocarstwa, a kiedy krzyżacka potęga nareszcie runęła na polach grunwaldzkich, podnosi wielką myśl połączenia kościoła wschodniego z zachodnim, odgrywa rolę arbitra w sporach książąt niemieckich i zmierza nawet do pozyskania korony czeskiej.

Czemżeż jest w obec tego wszystkiego ów suchy, ekonomiczny, a raczej kramarski pro-

gram, narzucony Polsce przez pana B., jak nie parodyowaniem przeszłości zaiste wielkiej i świętej.

Trudniejsza o wiele sprawa była ze stosunkami wewnętrznymi. Autor dociągnął wprawdzie okres drugi do końca XV wieku, ale już na następnej karcie obudziły się w umyśle jego poważne wątpliwości pod tym względem. „Przełom pomiędzy okresem średniowiecznym, — pisze on (str. 54) a nowożytnym jest widocznym tak samo w Polsce jak i na całym Zachodzie, pytanie tylko, czy u nas nastąpił równocześnie, to jest już w końcu XV a z początkiem XVI wieku?” Wyliczywszy następnie skrupuły swoje powiada dalej: „To wszystko nie upoważnia nas jednak do posunięcia naprzód epoki średniowiecznej w dziejach naszych. Gdybyśmy ją mieli posuwać, nie wiedzielibyśmy właściwie dokąd“ i t. d.

Wątpliwości te pana B., zrozumiałe dla nas bardzo dobrze, wyniknęły z mylnego założenia przy układaniu podziałów na okresy w ogóle. Wypadało bowiem autorowi albo trzymać się pod tym względem zasady, w dziejach powszechnych używanej i podzielić historią polską na średniowieczną i nowożytną, tak jak to czynią Niemcy, Francuzi i inne narody, a ratować się okresami do dziejów naszych zastosowaniem, albo też, skoro się raz już weszło na drogę inną, nie oglądać się na podział ogólny, nie troszczyć się, czy historia polska zbiega się z okresami powszechno-dziejowymi lub nie, lecz

traktować ją odrębnie ze stanowiska narodowego. Tymczasem pan B. stworzywszy dwa okresy, przypomniał sobie w trzecim nagle, że jest jakaś historia powszechna i że wypada koniecznie, chociażby dla zwyczaju, zrobić z nią krótki obrachunek. Naturalnie, że przypomnienie to, jak często myśl dobra, przyszło za późno i wprawiło autora w pewien rodzaj kłopotliwego położenia, z którego nawet przed czytelnikami swoimi się wyśpowiadał.

Na uspokojenie pana B. musimy powiedzieć, że tych skrupułów jego wcale nie dzielimy. Prawda, że historia powszechna ma pewne o kresy, które tradycyjalnie się utrzymują, niewynika jednakże z tego, aby dzieje każdego narodu w te stereotypowe formy wtłoczyć się dały. Życie narodów jest dziwnie podobne do życia jednostek. Tak bowiem jak jedni ludzie rozwijają się wcześniej a drudzy później, tak też i narody w rozmaitych czasach bytu swojego dochodzą do pewnych kresów cywilizacyjnego rozwoju. A nie godzi się ztąd wnosić, jak to autor czyni, o niższości jednych lub wyższości drugich, działając tu bowiem najrozmaitsze przyczyny, zazwyczaj zewnętrzne i od uzdolnienia narodu niezawisłe. Gdybyśmy n. p. zamiast Germanów u granic państwa rzymskiego postawili rzesze słowiańskie, to byłyby one niewątpliwie, w skutek zetknięcia się wczesnego z cywilizacją starożytną i zaborczą polityką rzymską, nabrały tego samego ducha wojowniczego i tej, jak chce pan B., karności, która ma być

cechą narodów teutońskich. Ponieważ jednakże praojcowie nasi w wędrówce swojej z Azji do Europy spóźnili się tak bardzo, że im zostawiono tylko obszary pomiędzy Wisłą a Uralem położone, nie dziwnego przeto, że i ich rozwój historyczny odtąd stałe opóźniać się musiał. To samo zjawisko powtarza się także i w życiu narodów germańskich, które tam tylko wytworzyły nowe i trwałe organizmy państwowe, gdzie się zetknęły bezpośrednio z cywilizacją i żywiołem rzymskim, jak n. p. we Francyi, Hiszpanii i półn. Włoszech, wszędzie zaś, gdzie starały się zachować odrębność swoją, prędzej lub później zginęły ze szczętem — jak Wandalowie w Afryce, lub Ostrogoci na półwyspie apenińskim. Niewątpliwa młodszość cywilizacji naszej nie może być przeto ujmą dla uzdolnienia lub charakteru narodowego, tak jak wcześniejszy rozwój szczepu germańskiego nie stanowi o wyższości Niemców nad Słowianami. — Z tego wszystkiego wynika dla historyków naszych wskazówka, że podział dziejów naszych nie powinien się stosować koniecznie do podziałów praktykowanych na zachodzie, bo to, z czem się tam społeczeństwo wcześniej oswoiło, działa się u nas o wiele później i działa się wśród odmiennych warunków, tak, że historia polska w ogólnym swoim rozwoju pod powszechną normę podciągnąć się nie da. — Skrupuły pana B. są więc nieuzasadnione, tak jak nieuzasadnionym jest również i podział jego historii polskiej.

Do charakterystyki stosunków wewnętrznych w drugim okresie, nazwanej przez nas frazesem, dodaje autor niejaki wyjaśnienia, których treścią jest, że stany mają w tym czasie zupełną autonomią na polu prawodawstwa, sądownictwa i administracyi i że zadanie monarchy jest bardzo szczupłe, bo ogranicza się tylko do utrzymania równowagi pomiędzy stanami i do kierowania polityką zewnętrzną. Środki czerpie monarcha z dochodów rozległych dóbr koronnych (str. 54).

Otóż co się tyczy najpierw owej autonomii stanów, to nie można jej uważać za cechę charakterystyczną tego okresu. Sam autor dowodził bowiem już poprzednio, że autonomią tę wywalczyło sobie duchowieństwo w ciągu XIII wieku, a wiemy również, że i organizacya miast od czasów Kazimierza Wielkiego w niczem esencjonalnie się nie zmieniła, nie może być więc to, co się stało o wiele wcześniej, charakterystyczną cechą dla epoki o wiele późniejszej. Pozostawałby tylko stan szlachecki i tu nie możemy pojąć, co ma znaczyć „autonomia na polu prawodawstwa“. Prawodawstwo, należące do zakresu sejmów, zasadza się w Polsce na zgodnych uchwałach trzech stanów: króla, senatu i rycerstwa. Duchowni zasiadają w senacie, ale dla miast miejsca już nie ma. Wprawdzie przyznano (dopiero) w roku 1518 mieszczanom krakowskim prawo wysyłania posłów na sejm, lecz jaką rolę podrzędną posłowie ci w Izbie odgrywają, to rzecz aż nadto wiadoma, nie mo-

zna przeto mówić, że w XV wieku wszystkie (3) stany posiadały autonomią pod względem prawodawczym, bo i szlachta nawet dość nieznaczny ma udział w obradach sejmowych, kiedy w roku 1511 zaledwie 34 reprezentantów swoich do Izby poselskiej wysyła. Rząd właściwy spoczywa faktycznie jeszcze w rękach króla i możnowładztwa, które pod względem interesów coraz to bardziej od szlachty się oddziela, a król ten nie pobiera, jak chce pan B., dochodów tylko z dóbr koronnych, lecz ma w rękach swoich szafunek całego skarbu aż do roku 1506. Cechy charakterystyczne drugiej epoki, podane przez autora, stosowałyby się więc właściwie do XVI wieku i to wtedy tylko, jeżelibyśmy mieli na względzie samą Polskę. Tymczasem państwo Jagiellońskie obejmowało, o czem p. B. zdaje się zapominać, od roku 1386 całą Litwę, od 1466 także i Prusy książęce.

Piszący historię polską musi się liczyć z tym faktem, chyba że z góry rezygnuje na to wszystko, co Rzeczpospolita w pierwszym i drugim rozbiorze straciła, — a historykowi przecież tego czynić nie wolno. Wciągnąć zaś w kombinacje swoje obie prowincje wyżej wymienione, czyli traktując historią polską jako dzieje państwa polskiego, a nie królestwa kongresowego, nie można się zastanawiać na końcu XV wieku, nie można stanąć w połowie XVI nawet, ale trzeba koniecznie sięgnąć aż do czasów unii lubelskiej, która stanowi podstawę Polski nowożytnej, jeżeli tego wyrazu koniecznie już używać

mamy. Z tym terminem ważnym zbiega się równocześnie niemal i egzekucya i połamanie przywilejów miejskich i śmierć ostatniego Jagiellona i elekcyja *viritim*, słowem olbrzymia i wszystkie inne stany przygniatająca przewaga szlachty, która „ocerkłowując“ coraz to ściślej władzę królewską, bierze na siebie w obec historyi ciężką odpowiedzialność za przyszłość narodu, — nie tyle, prawda, pod względem ekonomicznym, co politycznym. Postawiwszy kwestyę w ten sposób, nie mamy powodu spierać się z panem B. o okres Trzeci, który upaść musi, skoro poprzednicy jego utrzymać się nie mogli.

II.

Właściwą pracę swoją rozpoczyna pan B. od charakterystyki i ocenienia dwóch szkół historycznych, Naruszewiczowskiej i Lelewelowskiej, po czem następuje rozdział o szkole dzisiejszej. Charakterystyka ta o tyle już nie jest wyczerpującą, że autor, zarzucając Lelewelowi sąd *apriori* i nakręcanie faktów historycznych do teoryj republikańskich, zdaje się Naruszewicza uważać za dziejopisarza bezstronnego, jakkolwiek nie stojącego na wysokości trudnego swego zadania. W istocie rzecz się ma trochę inaczej, bo, jeżeli Lelewel bez grzechu nie jest, to nie są również zupełnie prawdziwe ultra-rojalistyczne poglądy Naruszewicza, uwydatnione szczególnie w naj-

znakomitszej pracy jego: „Żywot J. K. Chodkiewicza“. Zaprzeczyć przeto nie można, że obaj ci niepospolici dziejopisarze do swoich prac historycznych wnosili wiele zapatrywań osobistych i że pisali pod wpływem wypadków i wyobrażeń, wśród których wzrosli, wychowali się i żyli. Błąd ten, jeżeli ogółem błędem go nazwać można, jest jednak tak ogólnie ludzkim i tak łatwo zrozumieć się dającym, że autorom tak poważnym, pracującym z taką wytrwałością i obdarzonym takimi zdolnościami, ująć czynić nie może.

Objektywność w pracach naukowych historycznych jest bezwątpienia rzeczą bardzo cenną, ale zarazem pojęciem wielce elastycznym i jak każda doskonałość na świecie, ideałem niedoścignionym. Jak bowiem człowiek nie może się wyłamać zupełnie z pod wpływów epoki, w której żyje, tak też i poglądy jego muszą mieć do pewnego stopnia cechy ogólne, jakimi społeczeństwo w owej chwili się odznacza. Nawet p. B. z całą swoją „gruntowną znajomością umiejętności społecznych i politycznych“, pisałby i sądził z pewnością inaczej, gdyby żył np. w czasach rewolucyi francuskiej. Dziś dziwić się nie można, jeżeli w obec militarnej potęgi niemieckiej i rosyjskiej, historycy niektórzy podnoszą przedewszystkiem zalety rządów sprężystych, bo był przecież czas, gdzie Jan Jakób Rousseau wyrażał się z pochwałą o „anarchicznych“ ustawach Rzeczypospolitej polskiej.

Ogólny ten prąd, objawiający się nawet w uniewinnianiu imperatorów rzymskich, wbrew świadectwom poważnego Tacyty, nie dziwi nas, powtarzamy to raz jeszcze, ale też i nie uprawnienia reprezentantów tego kierunku do przywłaszczania sobie nieomyślności w sądach historycznych i do drapowania się w togę bezwzględniego obiektywizmu. To wszystko, co p. B. na str. 77 przytacza jako niewzruszone i rzekomo nieznane dotychczas zasady „nowej” szkoły historycznej, to są prawdy, o których dobrze wiedzieli wszyscy ci, co o przeszłości sąd swój wydawali. Już stary Tacyt uznawał, że historią pisać trzeba *sine ira et studio*; nie wahał się też Sallustyusz odślonić upadku społeczeństwa rzymskiego, nie ukrywał go Tacyt przed okiem ciekawego czytelnika, kiedy w „Żywocie Agrykoli” kazał przemawiać brytańskiemu Galgacusowi; — bo obaj wiedzieli tak dobrze jak i „nowa” szkoła historyczna, że „historia musi być wiernym obrazem życia narodu” i że „naga, niczem nieosłonięta prawda, może zbawiennie na społeczeństwo oddziaływać”.

Nie są więc te cechy charakterystyczne, o których szeroko rozpisuje się p. B. właściwością „nowej” szkoły historycznej, nie ona je wynalazła i nie ona pierwsza do nich stosować się usiłuje. A jeżeli dziś wymagamy od historyka znajomości nauk społecznych i politycznych, to nie jest to znowu zasługą jakiegokolwiek szkoły, lecz naturalną konsekwencją postępu naukowego. W chwili, gdy Naruszewicz kończył swój zawód

naukowy, a Lelewel go zaczynał, były umiejętności społeczne zaledwie w kolebce. Miał jednakże i Lelewel bardzo znaczną zasługę, o której p. B. zupełnie zapomina, a była nią metoda naukowa historyczna, przez niego właściwie po raz pierwszy u nas stosowana. Prawda, że metodę tę z biegiem czasu udoskonalono, bo wszystko na świecie wznosi się i doskonali, ale nie można mówić, że wyrobiła się ona w połowie tego wieku na zachodzie, kiedy ją znał i uprawiał ze skutkiem pomyślnym Lelewel na długo przed czasem przez p. B. wskazanym. I gdyby go był Nowosilców nie pozbawił katedry w Wilnie, gdyby go rewolucya listopadowa nie wyrzuciła była za granice kraju, niewątpliwie byłby stworzył całą szkołę badaczy historycznych w Polsce i poszukiwaniom naukowym nadał ten kierunek, jakim dziś chlubi się „nowa szkoła historyczna“, jako światłem zapożyczonem z zachodu, a właściwiej od Niemców. Stało się jednakże inaczej. Lelewel, utraciwszy naukowe zbiory swoje, pozbawiony wszelkich środków do życia, walcząc z nędzą, pracował wprawdzie z żelazną wytrwałością dalej o chlebie i wodzie, ale szkoły naukowej stworzyć już nie zdołał. Praca jego i zapatrywania rozchodziły się, jednały mu adeptów, dawały impuls do autorstwa, ale naśladowcy Lelewela, po większej części autodydakci i pod względem talentu niżsi o wiele od mistrza, nie mogli mu dorównać, pochwycili więc zasady polityczne, a metodę badania stosowali powierzchownie. I oto powód, dla którego Lelewel nie

mógł stworzyć „szkoły historycznej“, chociaż stworzył szkołę „polityczną.“

Tego wszystkiego nie chce pojąć p. B., lecz wkłada na barki Lelewela wszystkie zboczenia historyków współczesnych jemu, nawet ów prąd historyzoficzny, który od czasów Hegla opanował pewne warstwy społeczeństwa polskiego, a który trzeźwemu Lelewelowi był obcym zupełnie. Ztąd poszło zapewne i to lekceważenie, z jakim autor prace polskie traktuje i te same zarzuty, które powtarza za innymi, nie zbadawszy należycie przedmiotu. I tak na str. 76 utrzymuje, że dopiero Szafarzyk odparł twierdzenie, jakoby Słowianie z Hunnami w V w. po Chr. do Europy przybyli i wskazał ich jako tubylców, kiedy na 13 lat przed wydaniem Szafarzykowych „Starożytności“ wywiódł to samo Polak, Wawrzyniec Surowiecki, w rozprawie: „Śledzenie początku narodów słowiańskich“, czytanej na posiedzeniu Tow. przyj. nauk. warsz. d. 24 stycz. r. 1824. Wyniki badań Surowieckiego przyjął Lelewel w r. 1830, opierał się na nim sam Szafarzyk (t. I, 71, 155 w pol. tłóm.), a dziś, po latach 50, p. B., piszący „Historią Polski“ nie ma dla nich ani słowa uznania i uważa Surowieckiego tylko za statystyka, który „wprowadzał do historii głębsze ekonomiczne pojęcia“ (str. 58).

Gorzej jeszcze powiodło mu się z Lelewelem. Przyzwyczajwszy się do tego, aby każdy błąd historyków dawniejszych przypisywać Lelewelowi, powiada na str. 81: „Najazd innoplemien-

ných Lechitów miał się stać początkiem polskiego narodu i państwa. Zkądże jednak pochodzić mieli Lechici? Lelewel wyprowadził ich od Dako-Letów....“ Wygląda to zupełnie tak, jak gdyby Lelewel tym zasadom innoplemiennego pochodzenia hołdował, jakoby ich bronił i takowe w pismach swoich rozszerzał. Otóż w tem wszystkim nie ma ani słowa prawdy. Lelewel nie wyprowadza szlachty polskiej z jakiegoś najazdu „innoplemiennych“ szczepów, lecz każe jej się wyrabiać na podstawie stosunków społecznych w słowiańszczyźnie¹⁾, ba, nawet żartuje sobie z tycn, co szlachtę polską od obcych pierwiastków wywodzą²⁾, a jakkolwiek uwiedziony hipotezą uczonego Gatterera³⁾, łączy Słowian z Dakami, to uważa tych Daków czy Getów (a nie Letów) za naród słowiański, mówiąc: Nieodzwoną jest, iż tych Getów czyli Daków imie na Słowian się odmieniło⁴⁾.

W obec tak oczywistych dowodów, trudno nam prawdziwie pojąć, jak mógł p. B. podsuwać Lelewelowi błędy Maciejowskiego, Lewestama i Szajnochy i jak nie poczuwał się do obowiązku wyjaśnienia prawdy tam, gdzie niezrozumienie

¹⁾ Polska wiek śred. t. I, 708. Polska dzieje i rz. jej, t. II, 21.

²⁾ Polska dzieje i rz. j. III. 45.

³⁾ Abhandlung über die Frage, ob die Russen, Polen u. übrigen slavischen Völker von den Geten oder Daciern abstammen u. s. w. Bremen. 1805.

⁴⁾ Polska wiek. śred. I, 509.

prawdy podaje w wątpliwość sławę, jeżeli nie najznakomitszego dotychczas, to z pewnością jednego z najznakomitszych historyków polskich. Zdziwienie to nasze, jest zaś tem więcej uzasadnione, gdy p. B. i „nowa“ szkoła historyczna uważają bezwzględne wypowiedzenie prawdy, za jedną z głównych cech charakterystycznych swojej metody naukowej.

II.

Właściwą historią polską poprzedza p. Bo-brzyński szkicem pobieżnym o stosunkach narodów słowiańskich i o tworzeniu się państw słowiańskich i zaznacza przytem stanowczo wyższość Germanów nad Słowianami. „Najłatwiej, powiada on, organizowała się luźna rzesza ludów słowiańskich w silny naród i państwo tam, gdzie w skutek podboju dostała się do krwi słowiańskiej przymieszka jakiejś krwi obcej“ itd.

Co mamy myśleć o tej mniemanej wyższości germańskiej, wspomnieliśmy już dawniej, obecnie zwrócimy uwagę naszą na drugie twierdzenie autora, które na pozór wydaje się być trafnem i historycznie uzasadnionem.

Nie można zaprzeczyć, że Bułgarowie, szczep mongolski, zawojowali przy końcu wieku VII Słowian nad dolnym Dunajem mieszkających i utworzyli tam silne państwo, trzeba jednakże zważyć, że Słowianie tamtejsi byli żywiołem na-

plywowym, który dopiero na początku VI wieku, po odejściu Ostrogotów do Włoch mógł się w tych okolicach osiedlić i że Bułgarowie skutkiem tego, łatwo nielicznych i odosobnionych zwyciężyć potrafili, a że państwo bizantyńskie wtedy właśnie było wielce osłabione i zatrudnione napadami Arabów na posiadłości azyatyckie, więc i organizacja państwa bułgarskiego odbyła się bez żadnej przeszkody nie tak jak na zachodzie, gdzie każde usiłowanie Słowian w tym kierunku, budziło czujność Franków i ścigało na nich najazd wojowniczych Germanów.

A jednakże mimo to powstało tutaj, tj. na zachodzie, o czem p. B. w tej chwili zapomniał, na początku wieku IX państwo wielko-morawskie, które nie tylko rozwijało się świetnie, ale odpierało zwyciężko napady niemieckie, aż w pierwszych latach X wieku uległo koalicji węgiersko-niemieckiej. Że państwo Warego-Russów, późniejsze od wielko-morawskiego, trwało dłużej, tak długo, aż nareszcie rozwinęło się z niego W. księstwo moskiewskie, to znowu nie jest dowodem wyższej organizacyi politycznej, lecz wynika po prostu z położenia geograficznego tych krajów, które Warego-Russowie zajęli. Podczas bowiem gdy Morawianie, Czesi i Polacy musieli bezustannie walczyć o byt z silniejszym już wtedy żywiołem germańskim, były państwa ruskie oddzielone od świata germańskiego wałem zachodniej słowiańszczyzny, miały na południu bezsilne państwo bizantyńskie a za sobą aż ku Uralowi step szeroki, zaludniony zrzadka

fińskimi szczepami, stojącemi na najniższym stopniu kultury. Rozwój tych organizmów politycznych ruskich mógł się przeto odbywać bez żadnej przeszkody, oprócz nieznaczących starć z Chazarami i Połowcami, a jednak jakież opłakany widok przedstawiają stosunki księstw ruskich po śmierci Włodzimierza W., jak łatwo stają się te księstwa łupem naszych Bolesławów, a później hordy tatarskiej. Czyż to wszystko miałoby być cechą silnego organizmu państwowego, stworzonego przez przymieszkę krwi obcej?

Ten brak ścisłości naukowej w poglądach p. B. pochodzi głównie z lekceważenia, nie chcemy powiedzieć: z „niedokładnej znajomości“ faktów historycznych, która co krok niemal uderza uważnego czytelnika. Na str. 93 wstępuje Samo na tron w roku 633, a trzy lata przedtem już także mu autor odnosić zwycięztwo nad Frankami.

Karol W. miał podług zdania p. B. (str. 94), toczyć wojnę przeciw Awarom, ujmując się za Słowianami, podczas kiedy biograf tego cesarza, Einhard, powiada wyraźnie, że pragnął odplacić Hunnom (Awarom) za ich rozboje, *ut Hunnis factorum suorum vicem redderet*.

Na str. 95 czytamy u p. B., że Czesi „z obawy Węgrów musieli się uciec pod opiekę Niemiec (Borzywój w r. 871), przyjąć obrządek łaciński i urządzenia polityczne zachodu“. Tymczasem w roku 871 Węgry siedzą sobie spokojnie jeszcze gdzieś pomiędzy dolnym Prutem a Dunajem, na Węgrzech dzisiejszych kwitnie w najlepsze państwo wielko-morawskie i właśnie

w r. 871 łączą się Czesi z Morawianami, a Borzywoj przyjmuje chrzest, prawdopodobnie z rąk św. Metodogo¹⁾. Nie potrzebowali też Niemcy „odgraniczać się hołdowniczem państwem czeskiem od Węgrów“, bo napady węgierskie szły, jak wiadomo, przez Austryę, a Czechy, dzięki swojemu położeniu geograficznemu, były od nich zabezpieczone. Zresztą jeden rzut oka na mapę Europy środkowej wystarczy, aby stosunki te sprawdzić i ocenić.

Błędy te nie są to już drobnostki, z których sobie żartuje p. B. w przedmowie, bo nie chodzi tu o mylną datę śmierci jakiegoś książątka, lecz o zasadnicze kwestye historyczne, o poglądy, które w skutek mylnych dat i niewłaściwego zestawienia znacznie oddalonych od siebie zdarzeń, nadają wypadkom postać odmienną i niezgodną z rzeczywistością, a tego historykowi absolutnie już czynić nie wolno. Nie wolno mu też do swoich własnych poglądów wnosić wyrażen niejasnych, lub określeń sprzeciwiających się sobie. A przecież p. B. opowiadając o Słowianach, dopuszcza się podobnych usterek.

Na str. 88 bowiem mówi: „żywili się z myśliwstwa, pszczelnictwa, chowu bydła, a przedewszystkiem z uprawy roli, do której sama natura ziemi przez nich zajętej zwróciła ich wcześniej, niż zachodnich Germanów“.

Jeżeli teraz czytelnik, przejąwszy się tym

¹⁾ Büdinger Oester. Geschichte p. 305.

ustępem, wyobraża sobie siedziby pierwotne polskie, jako osady rolnicze, zasiane gęsto pasiekami i zamieszkałe przez ludność, oddaną uprawie ziemi, to omylił się fatalnie, bo na str. 98 pouczy go wnet autor, że ówczesna Polska, to kraj, pokryty całkiem dziewiczemi lasami, zalany wodą, coś w rodzaju Pińszczyzny, gdzie ludność mieszka po wyspach, trudni się rybołóstwem i myśliwstwem, a rolnictwo podrzędne tylko posiada znaczenie.

Oto, do czego prowadzi zbyt uczuciowa treściwość, czyli raczej niejasność stylu.

Na innym miejscu jeszcze większe napotykamy bałamuctwo, szczególnie tam, gdzie o pierwotnych stosunkach narodu polskiego jest mowa. „Nie łączono się, powiada autor (str. 99), w żadne związki gminne, ażeby sobie nawzajem dopomagać... Każdy zakładał osobne domostwo, karczował las“ itd.

Przyznajemy się w pokorze ducha, że takiego rozwoju społeczeństwa pojąć nie umiemy. Wszak rodzina nie mogła się składać w ciągu pewnego okresu czasu z jednej i tej samej liczby osób, a powiększając się stale, musiała koniecznie wytwarzać związki najpierw nie polityczne przecież, lecz chyba gminne. I na tem oparła się starożytna instytucja o pola, o której rozwiódł się obszernie dosyć Piekosiński¹⁾. I jakże z tem po-

¹⁾ O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich. T. XIV. Spraw. akad. krak. stron. 227—230.

godzić zresztą to, co autor na str. 128 mówi, że przed powstaniem monarchii Piastowskiej, ziemia nie stanowiła własności indywidualnej, lecz należała do związków politycznych? Chyba, że przyjmiemy za rzecz pewną, że Słowianie w czasach przedhistorycznej wędrówki swojej z Azji do Europy taką organizacją polityczną już posiadali i w okolice nadwiślańskie przynieśli, na co wszakże żadnych dowodów nie mamy i zapewne nigdy mieć nie będziemy.

P. B. jednak utworzywszy sobie raz hipotezę o powstaniu społeczeństwa polskiego, polegającą w części na analogii w urządzeniach germańskich (stron. 101), bez względu na to, że hipotezie tej sprzeciwiają się nie tylko badania dawniejszych, ale i nowszych historyków (Piekoskiński, Małecki, Smółka), stara się przeprowadzić w książce swojej konsekwentnie i przedstawić jako fakt żadnej już nie podlegający wątpliwości. Tymczasem jeżeli gdzie, to w tym okresie historii naszej otwiera się pole do najdowolniejszych przypuszczeń, a przy dzisiejszym stanie źródeł, których pomnożenia wcale spodziewać się nie można, wszelkie dążenie do uzyskania pewnych rezultatów w tym kierunku wydaje się nam płónnem, jeżeli nie wręcz niemożliwem. I całkiem słusznie wyraża się w tej mierze jeden z najgruntowniejszych znawców historii naszej: „Śledzenie początków instytucyj, które kielkują w odległej a mało zbadanej epoce, nie ro-

kuje pomyslnego skutku i prowadzi zwykle na manowce bałamutnych domysłów¹⁾).

IV.

Powstanie państwa polskiego tłumaczy autor odpowiednio do swojej hipotezy. Cała słowiańszczyzna zachodnia — bo o tej tylko mówi p. B., — była podług niego podzielona na ludy, które zostawały pod absolutną władzą książąt. Książę taki był właścicielem całej ziemi, prywatnych posiadłości nie było wcale. Otóż podobnie jak w Czechach rodzina Przemyślidów, tak u nas w Polsce rodzina Piastów, jedna z wielu rodzin książęcych, opanowała władzę naczelną nad okolicznymi ludami i, pogłębiwszy inne rody książęce, utworzyła absolutną monarchię polską. Hipoteza ta może być w ogólnych zarysach prawdziwa, bo co się działo gdzieindziej to mogło się stać i u nas; zastanawia jednak okoliczność jedna, to jest nagłe zniknięcie wszystkich rodzin książęcych. P. B. wprowadzie wywiodł z nich szlachtę, wywód ten jednak wydaje nam się ogólnie słabym, opiera się bowiem na jednym ustępie kronikarza Galla (450, 4), a sprzeciwia mu się brak wszelkich śladów w późniejszej hi-

¹⁾ Pawiński Adolf. Rządy sejmikowe w Polsce na ile stosunków województw kujawskich. Warszawa 1888. VIII.

stori polskiej, która potomków takich rodzin książęcych nie zna. Nie mogąc się wdawać na tem miejscu w krytykę źródłową hipotezy p. B.¹⁾, nadmieniamy tylko ogólnie, że nie została ona wcale przyjętą i nie różni się niczem od innych przypuszczeń tego rodzaju.

Jakikolwiek był pierwotny stan społeczeństwa polskiego, to jedno zdaje się być niewątpliwem, że pierwsi książęta polscy mieli władzę nieograniczoną i wykonywali ją tak długo, dokąd cywilizacja zachodnia nie rozpowszechniła się w narodzie i nie pociągnęła go na drogę opozycji stanowej przeciw absolutnej monarchii. Początkowo ma ta opozycja charakter reakcyi pogańskiej przeciw świeżo zaszczipionemu chrześcijaństwu, ulega jednak w walce z Kazimierzem Odnowicielem, który przywraca porządek przez dżida swego wprowadzony i oddaje państwo wzmoenione synowi swemu Bolesławowi Śmiałemu. Panowanie tego monarchy stanowi dotąd jeszcze najciemniejszy punkt na horyzoncie historii polskiej. Zatarg Bolesława z biskupem krakowskim, Stanisławem Szczepanowskim, tragiczny zgon tego prałata, połączony z upadkiem potężnego króla, wywołał nie tylko wielkie zamieszanie w kraju, ale przyczynił się zarazem do niezwy-

¹⁾ Autor ogłosił ją właściwie w XIV tom. Spr. akad. um. krak. pod tyt.: Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku; w „Dziejach“ podaje ją tylko jako podstawę historyczną.

kłego pomacenia źródeł historycznych. Podczas bowiem gdy jedni, opierając się na aktach kanonizacyjnych św. Stanisława, widzieli w królu świętokradcę i gwałciciela porządku społecznego, inni wywodzili akt oskarżenia przeciw biskupowi na podstawie tekstu Galla, który nieśmiało o zdradzie napomknął. Kwestya religijna usunęła w ten sposób na drugi plan historyą, bo wśród zawziętych sporów o zabójstwo biskupa zapomniano zupełnie niemal o tem, że wypadek ten zdarzył się przy końcu panowania Bolesława Śmiałego i nie mógł wywierać wpływu na to, co się przedtem w ciągu lat dziewiętnastu w Polsce działo. I jeżeli król, zabijając własną ręką biskupa, popełnił rzeczywiście zbrodnię, której nikt usprawiedliwiać nie może, to nie wynika ztąd, aby ten sam monarcha, przez cały czas panowania swego rządził źle i postępował niedorzecznie. — Odziedziczywszy po ojeu państwo uporządkowane i pokrzepione na siłach, musiał Bolesław pomyśleć o odzyskaniu tego stanowiska, jakie Polska za czasów Chrobrego zajmowała. I z tego punktu widzenia dadzą się wytłumaczyć wszystkie jego wyprawy. Pomorzan ujmując w karby, na Rusi wznawia wpływ Polski, wprowadzając do Kijowa Izasława, wzrastającą potęgę czeską stara się ograniczyć, przez udział w zamieszkach węgierskich odzyskać może Słowaczną zakarpacką, słowem, zakreśla tę nową Polskę takie granice, jakie miała za panowania Chrobrego, a dla zakończenia analogii dziejowej, sięga po koronę królewską w chwili,

kiedy państwo niemieckie w największem znajduje się rozprzężeniu, kiedy Henryk IV odbywa głośną w dziejach pokutę w Kanossie, a książęta niemieccy tron dziedziczny czynią elekcyjnym.

Rozważywszy to wszystko trudno pojąć, jak mógł p. B. nazwać wojny Bolesława Śmiałego „awanturniczemi harcami“. Prawda, że ten Bolesław powinien był podług zapatrywań p. B. zachować się przedewszystkiem spokojnie i lojalnie względem sąsiadów, podnieść kraj ekonomicznie i co najwięcej, starać się o oderwanie jakiej nadodrzańskiej lub nadłabskiej dziedziny, zamieszkałej przez Słowian. Ale Bolesław Śmiały nie mógł przewidzieć w wieku XI, że na gruzach starożytnego, słowiańskiego Braniboru wyrosnie groźna dla Polski monarchia Hohenzollernów, lub że zakon krzyżacki zamknie potomkom jego ujścia Wisły. Nie potrzebował on również abdykować ze swoich wpływów na kraje ruskie, nie przeczuwając teoryj dzisiejszych russyfikatorów, ale jako prawnuk Chrobrego i król niezawisłego, a bądź co bądź potężnego na owe czasy państwa polskiego, pragnął utrzymać i rozszerzyć jego mocarstwowe stanowisko. A że umiał, wbrew twierdzeniu p. B., skorzystać z zawikłań niemieckich, świadczy o tem jego koronacya i związki z Sasami.

Równie nieszcześliwie tłómaczy p. B. stosunek Bolesława Śmiałego do kościoła. Wiadomości nasze pod tym względem polegają jedynie na liście Grzegorza VII, który w kwietniu roku 1075,

pisze do Bolesława o zamiarze wysłania legatów do Polski¹⁾). Czy jednak ci wysłannicy papiescy rzeczywiście nad Wartę przybyli i czy tam co zdziałali, o tem nie powiedzieć nie możemy. Tymczasem p. B. na tej jednej wiadomości oparł cały pogląd swój na stosunek Bolesława Śmiałego do kościoła i duchowieństwa.

„W chwili też — tak pisze on na str 147, — kiedy upokorzony cesarz u bram zamku papieskiego Kanossy w pokutniczem odzieniu błagał o przebaczenie, zjeżdżał do Polski legat papieski. Miał więc Bolesław sposobność zawiązania ze stolicą apostolską bliższych, bezpośrednich stosunków i podniesienia swego znaczenia i wpływu w chrześcijańskim świecie“.

Pominąwszy drobne usterki, jak, że legat papieski mógł być w Polsce w roku 1075, podczas gdy pokuta Henryka IV przypada dopiero na rok 1077 i że Kanossa nie była zamkiem papieskim lecz należała do margrabyń toskańskiej Matyldy, zadziwia nas przedewszystkiem pewność z jaką p. B. potępia Bolesława Śmiałego. Przypuściwszy bowiem nawet, o czem wcale nie wiemy, że legat papieski był w Polsce, z kąd wniosek, że Bolesław stosunków przyjaznych z stolicą apostolską nie nawiązał, kiedy w roku 1077 koronował się królem, co podług ówczesnych wyobrażeń, każe się dorozumiewać pewnego zbliżenia do kurii rzymskiej, jeżeli nie wyraźnego przyzwolenia papieża? Z drugiej stro-

¹⁾ Kodeks wielkop. I, 6.

ny zaś nie można twierdzić, jak to robi p. B., że Grzegorz VII, wykląwszy Henryka IV, szukał przeciw niemu sprzymierzeńców, naturalnie i w Polsce także, bo klątwa papieska nastąpiła dopiero w roku 1076, a więc już po owym liście Bolesława Śmiałego. I oto nowy dowód, jak drobnych faktów historycznych i ich chronologicznego porządku lekceważyć sobie nie można.

Najniefortunniejszego obrońcę znalazła w p. B. idea monarchiczna. P. B. godzi się wprawdzie po cichu na to, że ta władza absolutna z czasów Chrobrego faktycznie nie istniała od śmierci Bolesława Krzywoustego, usiłuje ją atoli uratować twierdzeniem, że żyje w umysłach ludzkich i ma reprezentantów pomiędzy książętami. Jest ich rzeczywiście dwóch: Mieczysław III Stary i Henryk Brodaty. Jak ci książęta zadanie swoje pojmowali i jak ową monarchiczną ideę w czyn wprowadzić usiłowali, o tem opowiada nam sam autor. Mieczysław Stary więc przebijał monetę z lepszej na gorszą, aby w ten sposób wyzyskać poddanych, ustanawiał bardzo surowe prawa na polujących w lasach książęcych i chciał utrzymać styczność z „ogółem ludności przez ciężary publiczne“ (stron. 170). Drugi, Henryk Brodaty, łączył się z Niemcami, Niemców do kraju sprowadzał i położył fundament do germanizacji Śląska.

Czyż więc teraz mamy się dziwić, że tacy reprezentanci idei monarchicznej nie znaleźli gruntu w ludności i że usiłowania ich poszły na marne?

Można potępiać dążność możnowładztwa i duchowieństwa do ograniczenia silnej władzy książęcej, ale zapominać nie trzeba, że to duchowieństwo występowało w obronie uciśnionej przez urzędników książęcych ludności i broniło kraju przeciw zalewowi niemczyzny w chwili, gdy u góry z ambicyi i egoizmu chwytało się polityki absolutnej i bez względu na przyszłość narodu bratano się z Niemcami.

P. B. nie uwzględnia tego wcale, narodowe stanowisko duchowieństwa w tym okresie zbywa nawiasową wzmianką zaledwie a ratunek Polski, rozerwanej na dzielnice, widzi w zbawczem, podług niego, działaniu czeskich Wacławów. „Kto wie, powiada, czy bez krótkich rządów Wacława bylibyśmy się już kiedykolwiek sami na jednolitą monarchię zdobyli“ (221) Pominąwszy, że temu twierdzeniu przeczy koronacya Przemysława, dokonana przed połączeniem dzielnic wielkopolskiej z małopolską pod berłem czeskim, a będąca objawem wyraźnym budzącego się ducha narodowego, godzi się zapytać co właściwie zdziaływały rządy czeskie dla Polski? Autor odpowiada nam, że były to rządy silne, albowiem Wacław zawiadywał krajem polskim przez namiestników, którzy dali początek późniejszym starostom. Zasługa ta czeskich władców w Polsce wydaje nam się jednak zbyt wątplą aby na niej opierać można tak hazardowne twierdzenia. Kilkuletnie, chociażby nawet bardzo sprężyste rządy, nie byłyby w stanie obudzić narodu, który zatracił w sobie poczucie własnej godności, ani też prze-

kształcić go na materiał, wyrastający pod energiczną dłońią Łokietka na podstawę granitową przyszłej wielkości państwa polskiego.

Najlepszym też dowodem ogromnej siły żywotnej narodu polskiego i jego zdolności do życia politycznego, jest epoka zamykająca okres piastowski. Pomimo osłabienia władzy „patryarchalnej“, którą p. B. uważa za filar porządku społecznego i nieodzowny warunek pomyślnego rozwoju państwa, pomimo oplakanych stosunków w epoce podziałowej, dźwiga się naród natychmiast z letargu, skoro tylko na czele jego stanęli monarchowie rozumni i rzadni, pojmujący swoje zadanie i pracujący z poświęceniem dla dobra ojczyzny. Powróciła wnet harmonia pomiędzy narodem a królem, uciehła opozycja możnych i duchowieństwa a stosunek władzy najwyższej do stanów społecznych, opierający się, podług zdania p. B., już wówczas na „obopólnej umowie“ przypomina żywo epokę Bolesława Chrobrego. I to jest, naszym zdaniem, moment w historii polskiej mało dotychczas uwzględniany.

Dla p. B. jest państwo maszyną, której konstrukcja mniej lub więcej doskonała, przyspiesza lub opóźnia pomyślny rozwój narodu.

Nie przeczymy, że jest w tem wiele prawdy, ale i wiele przesady zarazem. Instytucje ludzkie, jak każda rzecz ludzka, stoją ludźmi a w braku ludzi zdolnych psują się i upadają, jak maszyna umiejętną ręką mistrza nienakręcana. Zginęło państwo bizantyńskie, pomimo wzorowych swoich urządzeń, kiedy brakło ducha, który je

ożywiał i przenikał, zachwiała się monarchia pruska pod świeżem teńnieniem rewolucyi francuskiej, gdy nie stało Fryderyka II, bo w świecie nie działa tylko siła materyalna. I, dla tego wy-daje się nam mylną doktryna, która pomyślny rozwój państwa i narodu czyni zawistym jedy-nie od jego instytucyj, a lekceważy współdzia-łanie i wpływ człowieka.

Miejmy nadzieję, że teorya ta, nienowa zresz-tą, bo zmartwychwstała pod wrażeniem zwycięstw pruskich, pójdzie *ad acta* przy pierwszej zmia-nie stosunków politycznych w Europie.

V.

Po śmierci Kazimierza W. rozpoczyna się no-wy okres w historyi polskiej. Państwo jest zje-dnoczone i zorganizowane, stosunek warstw spo-łecznych pomiędzy sobą i względem panującego uregulowany, podstawa dla dalszego rozwoju stwo-rzona. a co niemniej rzecz ważna, kończy dyna-stya Piastów kilkuwiekowe swoje nad Polską pa-nowanie. Wprawdzie p. B. utrzymuje (str. 45), że okoliczności tak przypadkowe, jak zmia-na dynastyi, nie mogą wpływać na losy narodu, ale zdanie jego o tyle tylko może być uzasadnio-ne, o ile dotyczy stosunków obecnych. W wie-kach średnich nie znamy ani jednego przykładu, gdzie przejście władzy najwyższej na inną ro-dzinę nie odbiło się następnie w historyi pań-

stwa lub narodu. Tak było i w Polsce. Ze śmiercią Kazimierza W. zmieniły się stosunki nie tylko dlatego, że po Piaście nastąpił Andegawęńczyk, ale głównie z tego powodu, że Ludwik otrzymał tron na mocy umowy z narodem, i że odtąd już stale niemal zmianę panującego poprzedza targ o koronę. P. B. widzi wprawdzie „umowę“ tę już dawniej, gdy jednak na poparcie swojego zdania dowodów nie przytacza, uwalnia nas tem samem od wszelkiej ze sobą polemiki w tym kierunku.

Ma ten okres inną jeszcze a niemniej ważną cechę charakterystyczną, a jest nią utworzenie się koteryi możnowładczej u dworu, która nie zasługami lecz intrygą dobiwszy się stanowiska i chwyciwszy ster rządu w swoje ręce, postępowaniem bezwzględnem, niesprawiedliwem i partyjnym jątrzyła umysły, rozrywała społeczeństwo i nieciła w kraju zarzewie wojny domowej. Dla czego p. B. kwestyi tej jasno i wyraźnie nie postawił, dlaczego winę złego zwałił na samorząd stanów (264), kiedy ona gdzieindziej leżała? Na to odpowiedzieć nie umiemy, faktem jest jednak, że panowanie Ludwika węgierskiego z tego właśnie powodu wypadło blade i niezupełnie zgodnie z istotnym stanem rzeczy.

W postanowieniu Ludwika, który Maryi i narzeczonemu jej Zygmunutowi luksemburskiemu, przeznaczył tron polski, upatruje autor „głębszą myśl polityczną“, bo połączenie „Polski z Brandenburgiem, gdzie żywioł polski jeszcze zupełnie nie zniknął, otwierało widoki na zachód a groziło Krzyżakom.“ Ustępem tym dowiódł p. B.,

że nie pojął ani dynastycznych dążeń Ludwika węgierskiego, ani nie zrozumiał ducha polityki ówczesnej. Wiek XIV nie zna idei narodowościowej, w późniejszym tego słowa znaczeniu; bez względu na pochodzenie i sympatyje narodów, krają dynastii ówczesni mapę Europy dowolnie, rozrywają lub łączą ze sobą ludy, które na mocy tradycyi i pokrewieństwa powinny być związane ściśle ze sobą lub rozwijać się oddzielnie, a wszystko dla tego, aby jaknajwiększy obszar ziemi przywłaszczyć swojej rodzinie. Cóż wspólnego mogły mieć z wyspą angielską kraje francuskie, kiedy je Plantageneci od korony francuskiej gwałtem oderwać chcieli? Cóż łączyło Brandenburgię, górny Palatynat lub Tyrol z Czechami, gdy Luksemburgowie wszystkie te prowincje berła swojemu poddać usiłowali i w znacznej części poddali? Nie „głębsza myśl polityczna“ przeto kierowała Ludwikiem, ale geograficzne położenie krajów, kiedy Jadwidze przeznaczał Węgry a Maryi Polskę. Jadwiga bowiem zaręczona z Wilhelmem austriackim, mogła łatwo zespolić ziemie austriackie z sąsiednim królestwem węgierskiem, podczas gdy Polska, przyległa dzierżawom luksemburskim, pomnożyłaby znacznie potęgę synów Karola IV. Gdyby więc szlachta wielkopolska kierowała się, jak utrzymuje p. B (str. 265), polityką popychającą Polskę na zachód, byłaby niewątpliwie przyjęła kombinację z Zygmuntem luksemburskim, szlachta ta jednak, niechętna kandydaturze niemieckiej, uchylili na zjeździe w Radomsku (a nie w Sieradzu, jak u p. B)

uchwałami swojemi wszelkie pretensye Zygmunta i Maryi do tronu polskiego. Nie mądrość małopolskiego możnowładztwa przeto, lecz patryotyzm wielkopolskich szaraczków, obronił tym razem państwo polskie od ścisłego połączenia z terytoryalną potęgą niemieckich Luksemburgów. — To, co później się stało, jest tylko konsekwencyą uchwał radomskich, do których i Małopolanie przystąpili.

Zaczyna się teraz epoka rządów możnowładnych, którą p. B. z szczególniejszem zadowoleniem traktuje. I rzeczywiście, jeżeli się przypuści, że oligarchia małopolska przyprowadziła do skutku połączenie Polski z Litwą, to przyznać trzeba, że działała mądrze i politycznie, chociaż znowu pochwała tej dyplomatycznej akcji ze strony p. B., jako reprezentanta „nowej“ szkoły historycznej, brzmi trochę dziwnie, bo przecież szkoła ta utrzymuje, że zbyt znaczne rozszerzenie się terytoryalne Polski było jedną z pośrednich przyczyn jej upadku. Widocznie więc wyznaje szkoła ta inne zasady w XV wieku a inne w XVIII.

A może p. B. chodziło nie tyle o kraje litewskie i ruskie, co o ową energię i bezwzględność w postępowaniu, jaka przebija się w polityce małopolskiego możnowładztwa? Pod tym względem idzie p. B. rzeczywiście bardzo daleko, bo wbrew dowodom Szajnochy i Szuskiego utrzymuje, że Wilhelm, korzystając z chwilowej nieogłędności panów, nietylko serce Jadwigi pozyskał, lecz wspólnie z nią jako prawy małżonek na zamku krakowskim zamieszkał

(str. 266.) Szczęściem śmiało to twierdzenie p. B. jest tylko wyrazem osobistego jego przekonania; te same źródła bowiem, na których opiera się p. B., znał już i Szujski, ale umysł jego bystry i nieuprzedzony umiał prawdę od pozorów prawdy odróżnić i rzecz drażliwą do właściwych sprowadzić rozmiarów.¹⁾ Cokolwiek zresztą sądziłibyśmy o ludziach XIV w., tyle trzeba im przyznać, że odznaczała się oni głęboką wiarą w obrzędach kościelnych i w związkach rodzinnych widzieli więcej niż formalność albo giełdową spekulację. Zerwanie więc stosunku Jadwigi z Wilhelmem, sankcyonowane orzeczeniem Stolicy Apostelskiej, mogło mieć miejsce tylko wtedy, jeżeli to wspólne zamieszkanie obojga jako prawych małżonków do skutku nie przyszło. Z tem przekonaniem zaś stoi i upada rzecz jedna: pojęcie charakteru Jadwigi. Dotąd uważaliśmy ją za kobietę wyjątkową, która poświęceniem uczuć własnych zjednała narodowi wielkie w historii stanowisko i wytknęła mu misję cywilizacyjną na wschodzie, a próbując twierdzenie p. B., musielibyśmy się solidaryzować chyba z rozżalonym Wilhelmem, stawiającym dawną narzeczoną swoją na równi z kobietami publicznymi.

Ale p. B. wziął się do tego, aby z królowej Jadwigi zrobić lalkę, nieszczęśliwą wprawdzie, lecz powolną wszelkim zachceniom możnowładztwa polskiego.

¹⁾ Szujski. Ludwik węgierski i bezkrólewie po jego śmierci. Opowiad. i roztrząs. histor. I, 17

Więc jak poprzednio, pomimo dokonanego małżeństwa z Wilhelmem, dała ona sobie wybić z głowy wszelkie skrupuły, przeszkadzające związkom z Jagiellą, tak i przed śmiercią, „powolna kościołowi“, zapisała majątek swój na wznowienie uniwersytetu, zapewne po to, aby mieli gdzie kształcić się kanoniści, w rodzaju tych, co dokonane jej małżeństwo z Wilhelmem za niebyłe i nieważne osądzili! Szczęściem i w tym wypadku zastępuje źródła historyczne intuicja p. B. i nadmierne rozmiłowanie się jego w możnowładztwie małopolskiem, co wszystko każe mu zapomnieć o dowodach i o zasadach „nowej“ szkoły historycznej, które, „prawdy dziejowej przekręcać nie pozwalają“.

Przypuściwszy bowiem nawet, że królowa majątek swój uniwersytetowi przekazała z namowy duchowieństwa, czego tylko domyślać się można, to pozostaje nam jeszcze ważny dowód, że już na dwa lata przed śmiercią swoją o wznowienie i uzupełnienie uniwersytetu krakowskiego się starała, pozostaje nam mianowicie owa odpowiedź papieża Bonifacego IX, świadcząca wymownie o intencjach królowej a przemileczająca o jakimkolwiek udziale duchowieństwa ¹⁾

Podobnie jak z Jadwigą postąpił p. B. także i z królem Władysławem Jagiellą. Jeszcze dokąd zasiadał tylko na tronie litewskim i nieograniczoną nad ludem swoim sprawował władzę, był to człowiek „nie ufający w szczęście oręża i nie lu-

¹⁾ Porównaj Cod. dipl. Univ. Cracov. I, 24.

biący wojennych zapasów, cichy i skryty“, łączący w charakterze swoim podstęp Litwy z bezwzględnością Krzyżaka, który „dla dopięcia celu przed żadnym nie cofnie się środkiem“ (str. 273); ale skoro przeniósł się do Polski, stał się natychmiast ambitnym i wyniosłym niedołęgą i ulegał każdej wybitniejszej osobistości (str. 282). W jaki sposób odbył się w Jagiellie ten ciekawy proces psychologiczny, tego nie wytłómaczył nam autor, taka dwoista charakterystyka Jagielly atoli posłużyła p. B. wybornie do wytłómaczenia wszystkiego, co się działo w Polsce i na Litwie. Szczególniej w Polsce jest ten Jagiełło zupełnie takim, jakim go Długosz przedstawia, człowiekiem w wysokim stopniu niesamodzielnym, skłonym bardzo do płaczu i słuchającym w pokorze kaznodziejskich napomnień Zbigniewa Oleśnickiego. Za to Oleśnicki wyrasta w książce p. B. na polskiego Bismarka, na najznakomitszego męża stanu, który niemal od bitwy pod Grunwaldem polityką polską kieruje. Znalazł się wprawdzie historyk i to specjalnie w historii XV w. pracujący, który odmienne cokolwiek o Oleśnickim ma zdanie, ale ten otrzymał od p. B. w dopisku (str. 299) naukę, że nie powinien się spierać z takimi historykami jak Caro i Smolka. Jakkolwiek szanujemy i uznajemy każdą powagę naukową, to znowu nie uważamy za rzecz stosowną w sprawach naukowych godzić się na wszystko, co taka powaga wypowie. Zdarzają się bowiem rozmaite wypadki, wśród których *et bonus dormitat Homerus*, a jeżeli wolno było p. B. bez

przeprowadzenia dowodu jednym zamachem obalić twierdzenia Szajnochy i Szujskiego, to i p. Prochaska miał prawo wypowiedzieć przekonania swoje, chociażby one sprzeciwiały się twierdzeniom pp. Cara i Smolki. Różnica jest tylko ta, że, podczas gdy w pierwszym wypadku słuszność była po stronie Szajnochy i Szujskiego, w drugim ma rację p. Prochaska.

Pan B. mianowicie utrzymuje, że Zbigniew Oleśnicki był już w roku 1420 przywódcą hierarchii kościelnej w Polsce i kierownikiem najważniejszych spraw politycznych, chociaż dopiero w r. 1433 został biskupem krakowskim. W źródłach nie ma wprawdzie na to dowodów, ale p. B. sądzi, że skoro Zbigniew został biskupem „to zapewne już przedtem zdziałał coś więcej.“ Otóż w historii przypuszczenia takie mogą tylko wtedy mieć pewne prawdopodobieństwo, jeżeli są poparte innemi okolicznościami przekonywającemi. W tym wypadku jednak rzecz się ma zupełnie inaczej. P. B. wie niewątpliwie jakimi drogami posuwano się u nas w Polsce na najwyższe dygnitarstwa, szczególnie wtedy, gdy u steru rządów stała oligarchia. Rozstrzygała zazwyczaj nie zdolność i zasługa, lecz związki familijne i protekeya możnych, którą rozporządzali kandydaci. Wszak zdarzały się wypadki, że gołowąsy młodzik piastował najwyższe dostojeństwa, bywał generałem artylerji, chociaż zaledwie zda-leka widział armatę. Z Oleśnickim, któremu zresztą zdolności nie odmawiamy, działo się podobnie. Ojciec jego, Jan, wślawił się obroną Wilna prze-

ciw Krzyżakom w r. 1390, przez matkę, Rożnównę, był spokrewniony z Zawiszą Czarnym, siostra Zbigniewa była żoną Jana Ossolińskiego kasztelana radomskiego, stryj Dobiesław kasztelanem wojnickim, stryjanka a żona Dobiesława, córką znanego Dymitra z Goraja, podskarbiego. Jeżeli z tą parentelą znaczną połączymy jeszcze tę okoliczność, że Zbigniew uratował królowi życie pod Grunwaldem i był jego sekretarzem następnie, to dziwić się chyba nie będziemy, że stracił z dostojęństwa kanclerza Jastrzębca i na jego miejsce został biskupem krakowskim, chociaż w polityce ważniejszej nie odegrał roli. I dlatego miał słuszość zupełną p. Prochaska, kiedy twierdził, że Zbigniew Oleśnicki redagował tylko pisma w kancelaryi i odprowadzał mszę u św. Floryana.

Prawda, że później, mianowicie od roku 1423, polityka Zbigniewa niejednokrotnie dobre dla Polski przyniosła owoce, ale zapominać nie trzeba, że stworzyła ona zarazem tę koteryę możnowładczą a raczej familijną, która wywołała gwałtowne wstrząśnienia w kraju. Konfederacya Spytka z Melsztyna i jego przyjaciół politycznych była wymierzona przeciw Oleśnickiemu i kamarylli rządowej a nie przeciw królowi, i myli się bardzo p. B., jeżeli ruch ten, poczęty już po śmierci Władysława Jagielly, przypisuje tej opozycyi, która za życia monarchy targowała się z nim o przywileje. Wszechwładza Oleśnickiego i mianowanie „prowizorów“ z pomiędzy krewnych biskupa, słowem rządy familijne Oleśnickich podczas ma-

łoletności Władysława Warneńczyka, oto powody pierwszego w Polsce rokoszu. Ażeby opozycję stłumić, uwagę narodu w inną skierować stronę, a zarazem rządy w rękę swojem zatrzymać jak-najdłużej. wymyślił Zbigniew Oleśnicki nieszczęśliwą sprawę węgierską, która się skończyła klęską warneńską i śmiercią bohaterskiego króla; mówimy wymyślił, bo faktem jest, o czem p. B. nie wspomina, że już za życia cesarza Albrechta II „panowie“ polscy nawiązywali układy z Węgrami i króla swego na tron im zalecali ¹⁾. Dziwno nam, że p. B., który występuje przeciw nadmiernemu rozszerzeniu terytoriów polskich, pochwała krok tak awanturniczy, jak wyprawę węgierską Władysława III jeszcze dziwniej, gdy na str. 311 zarzuca królowi lekkomyślność dlatego, bo nie czekał posiłków. Szkoda, że autor niepowiedział nam skąd te posiłki nadejść miały, czy przypadkiem nie była to owa flota wenecka, która za dobrą zapłatą Amurata z całą armią przewiozła z Azyi do Europy?

Polityka węgierska Oleśnickiego przyniosła więc Polsce dwie tylko korzyści: odjęła narodowi ochotę do łączenia się z Węgrami i dała temat Janowi Kochanowskiemu do napisania pięknego „Fragmentu“ o bitwie warneńskiej. Czy te korzyści mogły wynagrodzić stratę młodego, bohaterskiego króla i to zamięszanie, jakie w Pol-

¹⁾ Pisałem o tem obszerniej w rozprawie: Elekcyja czeska po śmierci Zygmunta Luksemburczyka. Kraków 1876.

sce od r. 1440—1447 trwało, na to niech odpowie p. B.

Równie wygórowane a z rzeczywistością niezgodne pojęcie ma p. B. o kościelnej polityce Oleśnickiego. Neutralność wobec sporu Eugeniusza IV z soborem bazylejskim nie była wynalazkiem Zbigniewa i nie nie uprawnia nas do tego, aby temu zachowaniu się k. ścioła polskiego przypisywać jakieś głębsze znaczenie. Owszem kościelna polityka Oleśnickiego była zupełnie zawisła od wypadków zewnętrznych. Tradycje soboru konstancyjskiego kazały mu popierać bazylejczyków, unia florencka przez Eugeniusza IV spowodowana, przechyliła go znowu na stronę tego papieża a zapał, z jakim Julian de Cesarinis, legat Eugeniusza IV, krzątał się około krucjaty na Turków, nie pozwoliły Oleśnickiemu wrócić do obozu Feliksa V, chociaż papieża tego do końca uniwersytet krakowski popierał. Po klęsce warneńskiej niepewne położenie kraju kazało przyjąć zasadę neutralności. Była to więc polityka „von Fall zu Fall“, zastosowana do okoliczności, rozumna nawet, ale daleka od zamiaru kierowania kościołem katolickim, do czego zresztą oddalona Polska nie miała ani możliwości, ani wyraźnej potrzeby.

Panowanie Kazimierza Jagiellończyka traktuje p. B. krótko i pobieżnie, zaznaczając tylko ogólne kierunki i pomijając wszystko, co dla przewodniej myśli jego mogło być niedogodne, albo co wymagało nowych a gruntownych studyów. Tak o humanizmie i wpływie humanizmu na Polskę,

szczególne na stosunki w uniwersytecie krakowskim, nie dowiaduje się czytelnik nie więcej nad to, co już przed laty 40-stu napisał Wiszniewski a inni za nim kilkakrotnie powtórzyli, chociaż od tego czasu wydobyto wiele nowych źródeł, rzucano kilka nowych myśli w tym przedmiocie, o czem historykowi, piszącemu w chwili obecnej wiedzieć i pamiętać należało.

Głębokiem milczeniem pokrywa p. B. również stosunki pomiędzy Litwą a W. Księstwem Moskiewskiem, chociaż sprawę tę powinien był poruszyć tam, gdzie o świetnym rozwoju potęgi jagiellońskiej jest mowa i gdzie się traktuje dość obszernie kwestye węgierskie i czeskie, mniej wchodzące w zakres historii polskiej, niż np. dzieje rzeczypospolitej pskowskiej i nowogrodzkiej. Nie chcemy podsuwać złych intencyj autorowi, ale to zamknięcie się jego w granicach Polski etnograficznej naprowadza mimowolnie na myśl, że p. B. leżało może więcej na sercu rozpowszechnienie książki i wzgląd na obecną sytuację polityczną, niż wyjaśnienie wszechstronne prawdy historycznej.

Zresztą, tak jak wszędzie w książce p. B. tak i tu, jest brak ścisłości historycznej, wynikający z niedokładnego rozczytania się w źródłach. Pan B. mianowicie zarzuca Kazimierzowi Jagiellończykowi (str. 346 i 347), że nie opiekował się należycie miastami, które mogły stać się podporą władzy królewskiej, a na dowód przytacza fakt jedyny, jak powiada, świadczący przeciw królowi. Jestto znana sprawa Andrzeja Tęczyń-

skiego, który w roku 1461 wskutek burdy ulicznej w kościele Franciszkanów w Krakowie przez pospólstwo został zamordowany. Wiadomość o tym wypadku doszła do szlachty, która podówczas walczyła przeciw Krzyżakom w Prusiech, i wywołała tam takie wzburzenie, że król wydał surowy wyrok, zaocznie skazując winnych na śmierć, chociaż podług przywilejów mieszczańskich, powinien był sądzić mieszczan krakowskich w Krakowie.

„Cenny przywilej miejski runął więc, pisze p. B., nie na rzecz państwa, nie wobec jego potrzeb, lecz na rzecz namiętności szlachty.“

Na szczęście dla króla i mieszczan krakowskich jest ten lament p. B. całkiem nieuzasadniony. — Prawda, że Kazimierz Jagiellończyk w tym wypadku przywilej miejski pogwałcił, ale wobec toczącej się wojny w Prusiech inaczej postąpić nie mógł; oburzona szlachta bowiem mogła odmówić dalszej służby wojennej i na największe króla narazić kłopoty.

W 26 lat później jednak wydarza się fakt inny zupełnie analogiczny. Szlachcie Piotr Bostowski napadł zbrojną ręką na dom Adama Soleza, mieszcza-
nina krakowskiego i licznych tam dopuszczał się gwałtów. Iurydykeya miejska wkroczyła w tę sprawę, Bostowskiego pojmano, stawiono przed sądem miejskim, i jako gwałtownika, ścięto. — Bracia zmarłego Jan i Paweł Bostowscy, zapozwali wskutek tego konsulów krakowskich, żądając, aby ich podług prawa ziemskiego sądzono. Król atoli, stosownie do przywilejów miejskich,

zasiadł sam na sądach w Krakowie i, rozpatrzwszy sprawę, uniewinnił mieszczan a Bostowskim wieczyste nakazał milczenie ¹⁾. „Cenny przywilej miejski“ nie „runął więc ani na rzecz państwa, ani na rzecz namiętności szlacheckiej“ lecz utrzymał się do końca XV w. dzięki energii króla. — A jeżeli dodamy do tego jeszcze podobną sprawę mieszczan lwowskich z Abrahamem Chochłowskim z Kamienopola i inne wypadki tego rodzaju ¹⁾, gdzie Kazimierz Jagiellończyk zawsze jako obrońca miast i przywilejów miejskich występuje, to twierdzenie p. B. uważać musimy za zupełnie nieuzasadnione i mylne.

VI.

Załatwiwszy się w ten sposób z ważniejszymi usterkami w książce p. B. musimy także wspomnieć o drobniejszych, których dotąd uwzględnić nie mogliśmy. Skłania nas do tego po części autor sam, kiedy w przedmowie (str. 10) dziękuje recenzentom, że wskazali zecerowi pomyłki.

¹⁾ Fakt ten opisany w Kodeksie dyplom miasta Krakowa (wyd. dr. Piekosiński) części pierwszej (Kraków 1879) p. 277—279.

¹⁾ Akta grodzkie i ziemskie t. VI, nr. LXI, LXII, LIV i LXXVIII—XCI.

Zdawałoby się, że potem uprzejmem podziękowaniu, trzecie wydanie „Dziejów“ p. B. wyjdzie bez błędów, bo i autor i zecer mieli czas i możliwość poprawienia tekstu i tych fatalnych myłek drukarskich, które w pierwszej i drugiej edycji się znajdowały. Tymczasem los zawistny, zapewne w przymierzu z zecerem, wypłatał znów figla autorowi i rozrzucił w książce jego cały tużin niesprostowanych erratów. Na próbę podajemy kilka.

I tak na str. 141 nazywa się Brzetysław cze-ski królem, chociaż nie był nim nigdy.

Na str. 142 czytamy, że Marya Dobrogniewa, żona Kazimierza I, była córką Włodzimierza W., podczas gdy ojcem jej był W. książę Jarosław.

Przywilej Bolesława, księcia kaliskiego, dla ży-dów, był wydany w roku 1264 a nie 1257 (str. 216).

Zjazd wyszehradzki odbył się w r. 1335 a nie 1336 (str. 235).

Układ o następstwo Ludwika w Polsce zawarł Kazimierz W. nie w roku 1336 lecz 1339 (str. 261).

Dynastyja luksemburska rządziła w Czechach nie od r. 1306 lecz dopiero od r. 1310 (str. 324).

Władysław III wstępując na tron polski miał lat dziesięć a nie ośm, jak chce p. B. (str. 304).

Bitwę na Kosowem polu stoczono w r. 1389 a nie 1433 (str. 310).

Cesarz Albrecht II umarł w roku 1439 a nie 1440 (str. 30).

Śląsk utraciła Polska nie w roku 1343 lecz w 1335 (str. 352).

Taka jest treść pierwszego tomu „Dziejów“ p. B. i takie są jego poglądy. Staraliśmy się przedstawić je bezstronnie i zwięźle, a jeżeli wytknęliśmy sumiennie wszystkie błędy, to z równą otwartością wypowiadamy i zalety.

P. B. pisze gładko i nierozwlekłe, jego przedstawienie rzeczy jest zajmujące i nie nuży czytelnika a znajomość prawa pozwala mu wnikać głębiej w stosunki wewnętrzne, niż to poprzednicy jego uczynić mogli. Przy tem wszystkiem jednak jest p. B. tak jak wszysecy niemal prawnicy, piszący historię, doktrynerem w całym tego słowa znaczeniu. Stworzywszy sobie pewien z góry ułożony plan, nagina do niego wszystko i wszystkich, wtłacza historię w formy gotowe i popada mimowolnie w te same błędy, które poprzednicy jego popełniali. Więc, kiedy oni bolejąc nad smutną dolą narodu, widzieli źródło jego upadku w anarchii i w przewadze klasy rządzącej nad większą częścią narodu a idąc tym torem doszli jedni do demokracji a drudzy do teorii o nieomyślności władzy królewskiej p. B. stawia ponad to wszystko rząd silny i ekonomiczny rozwój narodu. Z tego punktu widzenia patrzy on na cały przebieg historii naszej, innych czynników nie uwzględnia, z innemi się nie liczy,

bo czasy obecne przekonały go, że losy narodów rozstrzygają cyfry i kapitały, silną kierowane ręką. Ten jednostronny pogląd odbiera książkę jego cechę historyi a zniża ją do rzędu broszur politycznych i w tem także tkwi jedna z tajemnic jej powodzenia. To mylne zapatrywanie p. B. wynika z braku wykształcenia historycznego. Prawnik z zawodu zna p. B. historię powierzchownie, o tyle o ile przedmiotu jego dotyczy, nie przeniknąwszy jej zaś i nie zbadawszy do głębi, musi argumenta swoje czerpać z wypadków bieżącej chwili i do niej poglądy swoje naginać. Świat wydaje mu się niezmiennym, ludzie zawsze jednacy, życie narodów poddane tym samym prawom.

Historyk z tem zapatrywaniem zgodzić się nie może. On wie, że prąd czasu nie przechodzi niepostrzeżony, że ze zmianą stosunków zmieniają się ludzie i ich zapatrywania, i że w życiu ludzkim prawideł niewzruszonych nie ma, jak nie było i nie będzie niezmiennej polityki. Wszystko zmienia się, postępuje, doskonali a ponad tem παντα περ Heraklitowem unosi się Nemezys historyczna pogańskiego świata. Opatrzność chrześcijańska, która najlepsze rachuby ludzkie krzyżuje, najgenialniejsze pomysły w zarodku łamie, najpotężniejsze trony obala. Duch ludzki, pracując niezmordowanie na polu umiejętności od wieków, odkrył po części niewzruszone prawidła przyrody i począł je stosować do spraw ludzkich. Próbowali tego encyklopedyści francuscy w w. XVIII, próbował genialny skądinąd Buckle, ale usiłowa-

nia te żadnych dotychczas nie wydały rezultatów. Działalność człowieka nie da się podciągnąć pod pewne niewzruszone prawidła i na tem polega także w znacznej części wyższość rodzaju ludzkiego nad innemi tworami organicznemi. P. B. starał się naśladować Buckle'a, pomimo niepowodzeń jego systemu, i popadł w błędy naśladowcom właściwe, stał się jednostronnym i w sądach swoich uprzedzonym. I tak, jak niegdyś Koronowicz, fantastyczny swój pogląd na dzieje narodu polskiego oparł na zasadach ultra-republikańskich, tak p. B. w „trzeźwości“ za daleko posuniętej, ujrzał zbawienie Polski, w dobrowolnem poddaniu się narodu pod władzę despotyczną, którą wstydliwie nazwał „patryarchalną“. Książka Koronowicza narobiła w swoim czasie wiele hałasu, miała licznych zwolenników i była chętnie czytana, w końcu stoli utonęła w „zapomnienia fali“; książka p. B. jest podobnie objawem chwilowych prądów i będzie kiedyś dokumentem ciekawym dla historyka, ale nie stanie się nigdy dziełem, z któregoby naród polski mógł czerpać poglądy zdrowe na przeszłość swoją i wzory do postępowania w przyszłości.

35,000-

822/92

KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



D No 257940

Do korzystania
w czytelni

BIBLIOTEKA
Uniwersytetu Śląskiego

259635